

ROZMAITOSTCI.



Dnia 27 września,

N^{er} 39.

roku 1845.

Niewolnica baszy.

(Dokoneżenie.)

W drodze do Sivas został Djazzar o zamiarze Francuza względem zakradnięcia się do haremu uwiadomionym, i wrócił czémprędzej do Kizel-Ermak. Tu znalazł wprawdzie doniesienie o cudzoziemcu stwierdzone, lecz zbywało mu na dowodach do przekonania Baili o spółwinę. Postrzegła to natychmiast piękna ulubienica baszy i postanowiła korzystać z tego. Płonąca jeszcze gniewem, jakim ją ostatnia pobożna przemowa Francuza zapaliła, przybrała wyraz najwyższego podziwu, i zwróciła pytające spojrzenie ku Djazzarowi, jakby on sam przyczynę bytności tu Francuza miał jej tłumaczyć. Widać zaś niepewny wzrok swego pana, ochłonęła z reszty przestachu i użyła całej swój sztuki zalotniczej, aby Djazzara ułagodzić i nieznacznie ostatni cień podejrzania z siebie usunąć. Wkrótce też zmieniły się role pana i służebnicy: służebnica, otoczona blaskiem swojej piękności, czarująca teraz Djazzara temi samemi wdziękami, które przed chwilą przeznaczone były młodemu cudzoziemcowi, stała się znówuż panią swego rozmiłowanego baszy, a pan jej uległym i potulnym kochankiem. Lecz chcąc się tém pewniej o niewinności Baili przekonać, przygotował Djazzar okropną dla niej próbę. —

»Słuchaj!« ozwał się do niewolnicy, nadstawiając ucha na odgłos, który się dawał słyszeć ze dworu.

Baila natężyła także uwagę i usłyszała jakiś stuk głuchy, zawiły, podobny do

łoskotu przy młóceniu zboża. Nareszcie powstał zniecierpliwiony basza i klasnął. Na to ukazał się niewolnik w głębi sali.

»Rozkazy moje, sąż wykonane?« spytał Djazzar.

»Stało się zadość woli twojej, synu Alego;« — odrzekł niewolnik — lecz na próżno użyliśmy przeciw temu chrześcijaninowi postronków z ołowianemi gałkami, i rzemieni z końskiej skóry; na próżnośmy je moczyli, i rany jego sokiem cytrynowym napuszczali — nie wydał ani krzyku, ani jęku.«

»I cóż więc robi?« krzyknął basza.

»Modli się;« odpowiedział niewolnik.

»Więc nic nie wyjawił?«

»Nie, synu Alego.«

»Jeżeli moje kary języka rozwiązać mu nie mogły, może łaskawość moja tego dokáže;« rzekł Djazzar, uśmiechając się zło-wieszco. »Niech go tu przyprowadzą. Ale i Hajder niech tu przyjdzie.«

Po odejściu niewolnika usiadł basza znówu u stóp Baili, i zmieniwszy się w znie-wieściałego rozpustnika haremu, pieścił się jej wdziękami, rozkoszował w jej czarującym widoku, i w tej słodkiej rozrywce oczekiwał przybycia winowajcy.

Winowajca ten, nazwiskiem Ferdynand Lesserre, urodzony w Paryżu z zacnych, miejskich rodziców, łagodnego a przytém do głębokich dumań i uniesienia skłonnego charakteru, utracił w młodym wieku ojca i matkę, i nie mógł przeto jako sierota od kolébki, nadać przyrodzonego biegu obfitój tliwości swego serca. Ztąd zwrócił wcześniej toż serce ku religii, a zamiast zwykłej miłości dziecięcej, zamiast miłostek późniejszego wieku, któ-

rych on wcale nie znał, rozwinęła się w nim płonąca gorliwość wiary, i owładła całą duszę jego. W takiem usposobieniu, będąc pewnego dnia na kazaniu sławnego o. Lacordaire, powziął niezmiennie postanowienie kształcić się na misyjonnarza.

Jedyny krewny jego został świeżo konsulem w jednym z znaczniejszych miast Lewanty mianowany, i chcąc go w jego pobożnych zamiarach i rozmyślaniach rozzerwać, umieścił go przy sobie, jako praktykanta u konsulatu. Lecz to, co miało go rozlargnąć, utwierdziło go tém mocniej w jego wzniosłych zamysłach. Gdyż zbliżywszy się do tych miejsc świętych, gdzie prawdy ewangeliczne poraz pierwszy w świecie zabrzmiały, uczuł Ferdynand większą niż kiedykolwiek skłonność do swego apostołskiego powołania, i zamierzył przedewszystkiem zająć się zreformowaniem wszystkich sekt chrześcijańskosyzmatycznych na wschodzie.

Wyuczwszy się na ten koniec języka tureckiego i arabskiego, postanowił nasz młody misyjonnarz zwidzić różne ormiańskie, greckie, a nawet maronickie kościoły znajdujące się w prowincyi Sivas i wybrał się w tę podróż w lekkim i łatwym do kierowania statku, jakie w tych okolicach powszechnie są używane. Płynąc tedy korytem czerwonej rzeki, pogrążył się był właśnie w religijne dumania o życiu na puszczy i chacie pustelniczej, gdy wtém wiosło mu się złamało, a statek jego osiadł w pośrodku czerwonej rzeki na kępie, oblanej z jednej strony tąż rzeką, a z drugiej fosą otaczającą znany nam pałac Djazzara, Kizel-Ernak.

Ferdynand nie był bardzo biegłym w pływaniu, lecz pomimo zwykłej powagi w myślach, umiał wybornie skakać, przemierzył okiem rzekę i fosę, a widząc rzekę zbyt szeroką do przeskoczenia, obrócił się ku fosie, i jednym susem stanął na drugim brzegu. Dopiero przeskoczywszy fosę, postrzegł mur w gąszczu krzaków, tamujący mu dalszą drogę. Nazad na wyspę przeskoczyć, zdało mu się tym razem niebezpiecznie, a nawet nadaremnie, gdyż musiałyby znów przebyć rzekę, do cze-

go usposobionym się nie czuł. W tym kłopotcie, ani się domyślając, iż jest tak blisko letnich ogrodów baszy, ujrzał małą sklepioną fórtkę w murze, i popchnąwszy ją machinalnie, odenknął ją sobie z nadspodziewaną łatwością i wszedł do otwierającego się przed nim ogrodu. Postępując bez najmniejszej obawy naprzód, zbliżył się aż do owego miejsca, gdzie piękna odaliska spoczywała, i ujrzał się w obec Baili.

Bardziej zdziwiony niż zachwycony widokiem pstro i bogato ustrojonej niewolnicy, nie wiedział z czém się ma do niej ozwać, życząc sobie przedewszystkiem, wymknąć się z tego niebezpiecznego, rozkosznego ustronia, którego wcale nie szukał. Oddaliwszy się na jej skinienie, błakał się jeszcze jakiś czas po ogrodzie, był tam powtórnie przez wracającą do haremu Baile postrzeżony, aż wkońcu, wróciwszy do swojej ciągle jeszcze otwartej fórtki, a wiedząc już iż dłuższy pobyt w tych miejscach na ciężkie podejrzenie mógł go narazić, wymknął się fórtką ku fosie, i usiadł tam pod krzakiem, w myślach, co dalej począć?

Gdy tak przez kilka godzin skryty w krzakach przesiedział, postrzegł w wieczornym już zuroku jakiegoś zdala ku czerwonej rzece nadchodzącego człowieka.

Był to jeden z bostandżich palacowych, który wykraadał owoce z ogrodu swojego pana, aby je w mieście sprzedawać, i dlatego tę fórtkę otworem sobie zostawiał. Tento sam bostandżi zmuszony był później zagrożeniem odkrycia jego występku, jakoteż obietnicą wielkiej nagrody, do wprowadzenia Francuza do pawilonu Baili.

Teraz, przybywszy do rzeki, przeszedł ją bostandżi znajomym sobie brodem, stanął na wyspie, wyjął tam zpod krzaków długą deskę, którą w poprzek fosy położył, i przebywszy w ten sposób fosę, wciągnął deskę za sobą, schował ją w gąszczu, tuż koło skrytego za krzakiem Ferdynanda, i wszedł fórtką do ogrodu.

Dzięki temu niespodzianemu odkryciu pozyskał Ferdynand wszelkie środki wydobycia się ze swego przykrego położenia i nie zwlekając ani chwili, przebył

tyń. samym sposobem co i bostandzi, najprzód po kładce fosę, potem wskazanym brodem rzekę, a potem pobłądziwszy jeszcze trochę na polach poza rzeką, dostał się szczęśliwie do mieszkania swojego wuja w pobliżkiem mieście Sivas.

Tu w domu konsula dowiedział się dopiero z pewnością, iż był w ogrodzie Djazzar-baszy. Lecz któż była owa piękna kobieta, którą tam ujrzał? Według wszystkiego co mu dotychczas o baszy słyszeć się wydarzyło, musiała to być owa sławna Baila, piękna niewolnica z Mingrelji, która całe serce swego pana posiadała. Odtąd przysłuchiwał się Ferdynand pilniej krążącym o niej wieściom, i usłyszał raz jednego, co powszechnie o naszej odalisce mówiono: iż gdyby chciała, basza dla niej na żydowską wiaręby przeszedł.

Dlaczegoż nie na religiję chrześcijańską? pomyślał zapaleniec.

Od téj chwili zwróciły się wszystkie myśli młodego Francuza ku pięknej odalisce. Nie domyślając się nawet, jakie on sam uczucia w jej sercu obudził, powtarzał Ferdynand ciągle: »Ona rodem z Mingrelji — ona jest chrześcijanką — basza ulega jej we wszystkiem — gdyby zechciała, mogłaby go nawrócić...

O ileż większej wagi nabyła mniemana missyja młodzieńca w jego oczach! Jakiżto tryumf dla niego, dla religii, dla wszystkich ucisnionych, nieszczęśliwych chrześcijan w Sivas, gdyby jego myśl urzeczywistić się mogła!

Opanowany temi wyobrażeniami, zwierzył się pewnemu staremu kapłanowi, spowiednikowi swojemu, który oraz był spowiednikiem Maryjamy, bo Maryam była gorliwą katoliczką i zachowywała wszelkie przepisy religijne. Porozumieć się przez tegoż bogobojnego kapłana z murzynką, a przez tę z odaliską, a potem odaliskę do ujęcia sobie baszy nakłonić — taki był naprzód ułożony zamiar naszego entuzyjaszty.

Po długich naleganiach dopomógł wreszcie trwożliwy staruszek Ferdynandowi do zapoznania się z murzynką, lecz dalej wszelkiego udziału mu odmówił.

Po niejakim czasie rozeszła się pogłoska iż Baila w orszaku Djazzara przejeżdżać będzie przez miasto. Uradowany tym młodzieniec rozumiał, iż piękna odaliska na znak przychylenia się do jego zamysłów chce to uczynić, i postrzegłszy ją istotnie w przejeździe, wyciągnął w tém przekonaniu mały brylantowy krzyżyk, który jako pamiątkę po matce nosił zawsze na piersiach, a który dla Baili stał się przedmiotem tak długiego marzenia.

Wiadomo już jaki obrót wzięło wykonanie tego śmiałego przedsięwzięcia Francuza. Oto oddanym był teraz na męki i miał być po mężnym wytrzymaniu najokropniejszych katuszy, przed Djazzara przyprowadzony.

Gdy wreszcie z związanemi wtył rękoma, w towarzystwie swoich oprawców, wszedł na salę przed baszę, siedział Djazzar u stóp pięknej Mingrelki, a tuż przy nim leżał lew Hajder, wyciągnięty na ziemi, z spuszczoną w dół głową, z półprzymkniętymi oczyma.

Na znak baszy, oddalili się niewolnicy. Scena, która miała nastąpić, nie powinna była mieć świadków. Zostali tylko basza, chrześcijanin, lew i Mingrelka.

V.

Czém bliżej chwila rozstrzygnięcia nadchodziła, tém mocniej uderzało serce Baili, tém bardziej znikało jej spokojne przed chwilą zaufanie w swoją nad Djazzarem przewagę. Jedno bowiem słowo katowanego młodzieńca mogło jej winę wyjawić i wyrok śmierci na nią wydać. Kryjąc więc swoją bladłość i trwogę w cieniu podwójnego welonu, utopiła niespokojne spojrzenie w cudzoziemcu i czekała z drżeniem końca sprawy.

»Jako! Toż dla wysłuchania pobożnej przemowy tego smutnego kaznodziei, naraziłam się na niebezpieczeństwo życia?« myślała w duchu Baila. »Czemuż go raczej nie zabili, gdy im to rozkazałam? Czemuż nie uległ katuszom, które mu tam przed chwilą zadawano?«

Tymczasem widząc go tak pokaleczonego, z sinemi na całym ciele bliznami, zbroczonego świeżo wylaną krwią na pier-

siach, i tak stojącego w tej samej sali, gdzie niedawno przy jej boku na miękkim łożu rozkoszy siedział, z tym samym bojaźliwym wzrokiem, którego nie śmiał wnieść ku niej, a w którym teraz cichy, łagodny wyrzut widzieć mniemała — wziąwszy się litością Baila.

»Chrześcijaninie!« rzekł basza. »Jakiż cel sprowadził cię w te miejsca?«

»Jej zbawienie;« — odpowiedział winowajca, obracając w tej chwili oczy ku odalisce; a potem wznosząc je na Djazzara, dodał — »a może też i twoje, baszo!«

»Kłamiesz, psi synu!« krzyknął Djazzar. »Piękność tej niewolnicy tu cię zawiiodła; ceną twojego życia chciałeś nasycić się jej widokiem. Nie prawdaż?«

Młodzieniec uczynił znak przeczący, lecz basza nie zważał na to i mówił dalej:

»Jestżeś zadowolony? Powinieneś nim być, gdyż ją widziałeś. — Jakimże sposobem mógłeś porozumieć się z nią? Kto ci był przewodnikiem? Jak cię przyjęła?«

Podobny do tygrysa śpiegującego okiem i uchem każde poruszenie swojej zdobyczy, czatował Djazzar na słowo, wzrok, wyraz twarzy młodzieńca.

Nic się wprawdzie od niego nie dowiedział, lecz czuł jak drżały kolana odaliski.

»Chrześcijaninie,« — ozwał się basza dalej, łagodniej — »powtarzam ci, wyznaj wszystko, bądź szczery, a jakiegokolwiek twe przewinienie, przebaczę twojej młodości, powrócę cię twemu krewnemu, wynagrodzę ci coś wycierpiał, obsypię cię łaskami — lecz wymień swoich spółwinowajców — wyznaj jak cię przyjęła — mów! Słucham.«

Tu zamilkł, czekając odpowiedzi, lecz winowajca stał wciąż niemy i nieruchomy.

»Mów! Mów, giazurze!« powtórzył basza z wściekłością. »Jeszcze jest czas — tylko dobrowolnym wyznaniem okupisz swoje życie — czy zrozumiasteś?«

»Wiara moja nie pozwalała mi dla własnego ocalenia, innych w nieszczęście wtrącać;« odrzekł młodzian spokojnie, a lica jego zajaśniały wzniosłym uczuciem poświęcenia się.

»Stało się!« zawołał basza udając pozorną obojętność. »Chcesz umrzeć, więc

umrzesz; lecz wieszże jaki koniec ci przeznaczyłem?«

»Jakiegokolwiek on będzie, jestem gotów.« »Niczegoż tedy na ziemi nie żałujesz?« zapytał Djazzar, zatapiając wzrok w chrześcijaninie, i myśląc że spojrzysz na Bailę.

»Niczego;« — odpowiedział młodzieniec z spuszczonej w ziemię oczyma — »obym tylko ostatnie chwile w towarzystwie kapłana mojej świętej wiary mógł spędzić.«

Djazzar zdawał się nad tym namyślać; po chwili zaigrał przelotny uśmiech na jego ustach.

»Jeśli twoje życzenia na tym się kończą,« — rzekł — »mogą być spełnione.«

Na dany przez baszę znak wszedł niewolnik. W kilka minut potem stawił się jakiś zgrzybiały starzec, z łysą głową, długą białą brodą, i pooraną zmarszczkami twarzą. Na widok baszy zadrzał jakby ostatnia godzina jego życia już uderzyła.

Był to ubogi zakonnik, Maronita, przysłany właśnie przez patriarchę z góry Libanu, na miejsce zmarłego niedawno przełożonego klasztoru w Perkinik.

Przejeżdżając dnia dzisiejszego pewną katolicką wieś w okolicy Sivas, chciał basza złupić ten ubogi klasztor, gdzie trzech mnichów w łachmanach, wpośród równie nędznego pospólstwa, z pracy rąk swoich żyło. Ale ponieważ żadną miarą żądanej sumy natychmiast uzbierać nie było można, przeto uprowadził Djazzar z sobą przełożonego, aby go dopóty w zakładzie u siebie zatrzymać, dopóki wyznaczonego okupu nie zapłacią.

»Rafrze,« — rzekł doń surowo basza — »nie chciałeś zapłacić czynszu.«

»Chrześcijaninie z Libanu« — odpowiedział stary mnich drżącym głosem — »wyłączeni są od tej daniny, od czasu wyprawy świętego króla Ludwika — a wicekról Mehmet Ali uwolnił nas również od tej opłaty.«

»Kłamiesz, stary szakalu!«

»Sam sułtan przyznał nam to starodawne prawo.«

»Nie ma tu innego prawa nad moją wolę!« zagrzemiał głos baszy.

»Ach, czemuż panie przebłagam surowość twoją!« zawołał przerażony starzec, spo-

glądając z trwogą na lwa u stóp Djazzara. — „Nie mam nic na tym świecie prócz tego życia, które możesz mi odebrać.”

„I odbiorę ci je, bądź tego pewny, jeżeli nie będziesz natychmiast mojej woli posłusznym.”

„Lecz aby tę daninę zapłacić...”

„Któż tu mówi o daninie? Uwolnię cię od wszelkich opłat, uwolnię was wszystkich od niej na zawsze, a ciebie obładuję piasrami, i odesłę nazad wolnego, lecz przed naszym rozstaniem, wyrzecz przekleństwo na tego psa, którego tutaj widzisz.”

To mówiąc obrócił się ku Ferdynandowi.

„Tak jest, zginiesz tu giurze, a zginiesz w kławie kapłana twojej wiary. Nie wyjawiszże i teraz spółników swojej winy?”

W całą odpowiedź na te słowa uklęknął Ferdynand Lesserre z spokojną rezygnacją przed starym mnichem, i schylił głowę pod przekleństwo kapłana i cios szabli Djazzara — gdy wtém stary zakonnik z góry Libanu wznosił wychudłe ręce nad jego głowę i przemówił czułym, łagodnym głosem:

„Jeżeli jesteś chrześcijaninem, błogosławieć ci mój synu.”

Zaledwie te święte słowa wyrzekł — już się rozległ grom wyrzału a stary mnich z Libanu padł ugodzony kulą pistoletową.

Baila odskoczyła ze zgrozą na bok, a basza z tą samą wciąż spokojnością, wetknął za pas pistolet.

Tymczasem lew, rozłakomiony widokiem krwi rozlanej, poskoczył z rykiem ku ciału Maronity.

„Niech wyniosą to ściérwo!” zawołał Djazzar na niewolnika. Poczém chwyciwszy lwa za grzywę, oderwał go od trupa, którego natychmiast wyniesiono.

„Hola!” ozwał się basza do lwa Hajdera, który cały zjeżony, z otwartym pyskiem, wydawał chrapliwe ryki i szył iskrzącym wzrokiem ku stronie, którędy wydarty mu łup wywleczono. „Hola, miłej cierpliwość, Hajder! Twoja część cię nie minie. Nie stracisz na zamianie.”

To rzekłszy usiadł znowu u stóp Baili, i podczas gdy lew ciągle okropny ryk wydając, spozierał ku szerokiej kałuży krwi, upłynionej z trupa starego mnicha, basza, nie okazując najmniejszego wzruszenia i nie zważając wcale na zgrozę niewolnicy — „Tak jest!” zawołał z zadowoleniem. „Dla nas wszystkich ten giur! Każde z nas otrzyma część swojej — ja głowę, lew ciało, a ty, moja piękna różo z Mingrelii — ty otrzymasz jego serce, to serce, które on tobie oddał. Idźże więc, wzięć je sobie.”

Drżąca ze strachu Baila nie była przygotowaną na ten nowy zwrot baszy, i nie wiedziała do czego te wyrazy zmierzają.

„Idź, weź je, mówię tobie!” powtórzył basza.

„Patrz, nie może się wcale bronić. Sam ci to serce

ofiaruje. Idźże duszo moja; a jeżeli twój sztylet nie zdaje ci się być dostatecznym, posłuż się moim”

Odaliska pochyliła się z wymuszoną zalotnością ku baszy i rzekła z cicha:

„Ty żartujesz, nie prawdaż?”

„Nie — nie żartuje! Chceszże umyślnie mnie nie rozumieć!” krzyknął Djazzar okropnym głosem. „Otóż mówię ci wyraźnie: Niech ten giur ginie, a ginie tu natychmiast z twojej ręki. Jeżeli nie — będę cię miał za jego spółwinowajczynię, a głowa twoja spadnie wraz z jego głową. Przysięgam ci to na Mahometa i czterech kalifów.”

Nie mając innego wyboru, jak tylko śmierć zadać, lub samęj ponieść — uczuła Baila dreszcz grobowy, który na wskrósł ją przenikając, w śmiertelnej bladeści jej twarzy się objawił.

„Ociągasz się!” zawołał basza.

Baila podniosła rękę chcąc dobyć sztyletu.

„Weź mój;” rzekł Djazzar.

Ręka Baili spadła bezwładnie na ramię Djazzarbaszy, i spoczywała tam czas niejaki nieruchoma i martwa, jakby paraliżem tknięta. Tymczasem przygaskał lecz niespokojne jej oczy wzniosły się skrycie ku obcemu młodzieńcowi, dziś rano jeszcze celem jej marzeń miłośnych będącemu, a teraz krwią zlanemu męczennikowi, który ją jednem słówkiem mógł dla ocalenia siebie zgubić, a który tego słówka nie wyrzekł, lecz spokojnie szedł umrzeć za nią.

„Będzieszże posłuszną?!” ozwał się raz jeszcze basza, wściekły z niecierpliwości.

Ręka Baili zsunęła się z ramienia Djazzara i drżąca przebiegała pilnie pomiędzy rozmałą za pasem baszy bronią.

„Ty drzysz!” krzyknął basza poraz ostatni. „Nie chcesz go zabić! — Kochasz go —?!”

„Tak jest, kocham go!” odpowiedziała mingrelska niewolnica i utopiła sztylet w piersi swojego pana.

Lubo śmiertelnie ugodzony, porwał jeszcze basza za pistolet, lecz na znak odaliski lew Hajder, podniecony nanowo widokiem i zapachem krwi świeżej, rzucił się na Djazzara, i nasycił się przyrzeczoną mu częścią.

Podczas gdy przerażony tém podwójnym morderstwem Francuz, oczy z boleścią przymknął i skrepowane ręce z wyteżeniem najwyższej zgrozy wyciągnął, Mingrelka, obdarzona nadzwyczajną przytomnością umysłu, zebrała na prędce wszystkie znajdujące się w sali kosztowności, podłożyła spiesznie ogień pod osłony, sprzęty i dywany, i uwolnwszy związanego młodzieńca z więzów, uprowadziła go raczej martwego niż żywego skrytym wychodem do pomieszkania murzynki Maryam.

Pałac Kizel-Ermak, zbudowany cały z drzewa, został w kilku godzinach w perzynę obrócony.

Nazajutrz opowiadało sobie w Sivas najrozmaitszej zdarzone wczoraj wypadki. Jedni ograniczali

się na wiadomości iż Djazzar-basza był uduszony przez własnego łwa, i że przewrócona w czasie walki tych dwóch zajadłych zwierząt pochodnia, przyczyną ognia się stała. Inni, utrzymując się być lepiej zawiadomionymi, a pełni jeszcze wspomnień dawnego rządu otomańskiego, opowiadali iż jakiś nieznany człowiek, noszący ubiór Franka, a oddawna już w mieście, dla uniknięcia wykrycia swojej tajemnej misji przebywający, był przyprowadzony przed baszę, i gdy tenże swoim niewolnikom rozkaz uciecia mu głowy dawał, mniemany Frank, który nie był kto inny, jak tylko sam kabitzi-bechi, wykonawca sułtańskich wyroków śmierci, ukazał swój hali-szerif, a nato, głowa samego Djazzara spadła. Pożar zaś wszczął się przypadkiem przez sprawiony nagle w pałacu rozruch, a podczas tegoż powszechnego nieładu, umknął także kabitzi-bechi, i znikł przebrany pomiędzy ludem.

Dwadzieścia przeciwnych wieści krążyło jeszcze długo po całej prowincji Sivas, a wszystkie prawie były wiernie przez dzienniki europejskie powtarzane.

Podczas gdy w Sivas, Rokale i innych miastach paszalik w przeróżnych domysłach się gubiono, Baila i Ferdynand, którzy dzięki powstałemu po śmierci Djazzara rozruchowi, jakoteż ich spiesznemu przebraniu, bezpiecznie z pałacu uszli, schronili się najprzód w góry na południe od Sivas położone, gdzie zbójcecy Kurdowie pod swoją opiekę ich wzięli i za mały okup puścili; później dostali się do pobliskiego klasztoru, potem tułali się po różnych lasach, pieczarach, aż wkońcu, idąc zawsze w górę czerwoną rzeką, w granice Persyi weszli. Tam udali się do francuzkiego poselstwa, i w jego też orszaku do Francji powrócili.

W tej całej podróży, bawiąc nieustannie z piękną Mingrelką, swoją zbawczynią i towarzyszką, spijając pod jednym dachem, usługiwany przez nią wierniej niż niegdyś Djazzarowi usługiwiała — utracił Ferdynand nieco z dawnego apostołskiego zapału.

W pierwszych czasach swojej ucieczki nawrócił wprawdzie kilka wsi szymatycznych, lecz i te, jak się później dowiedział, wrócili znowu do swojej dawniej wiary.

Przy wizowaniu paszportów w Marsylii czytano: „Ferdynand Lesserre, praktykant przy konsulacie, podróżujący ze swoją siostrą....”

Przybywszy do Paryża, ujrzeni się na nowo, lecz nierównie pospolitsze niż dawniej przygody narażenia: zabrakło im pieniędzy; klejnoty, podarunki Djazzara, które odaliska z sobą uniosła, były po większej części fałszywe. Ferdynand szukał utrzymania dla siebie i wstąpił do drukarni królewskiej, jako kierujący robotą około dzieł literatury oryginalnej. Dawna niewolnica baszy ogładnęła się także za stosownym sobie zarobkiem, lecz nie mając wyobrażenia o pracach, jakimi europejskie kobiety się

zajmują, i nie umiając żadnego z europejskich języków, prócz zrozumiałego wszystkim języka tańcu, nie mogła nic innego uczynić, jak tylko zaangażować się przy balecie opery, gdzie podziśdzię jako jedna z najpiękniejszych i najzgrabniejszych danserek figuruje.

Kiedy nam każe nasz język co mieć a kiedy posiadać?

Wszystko to, co samo przez się organicznie pod jakąś formą jest, co samo przez się jako całość bądź rodzimym życiem zrosnięte, bądź przemysłem człowieka złożone, pod jakąś postacią, jako jednostka trzyma się; to wszystko język nasz każe nam, *mieć*; ale nie każe posiadać. Dlatego nie mówimy, że posiadamy: twarz, oko, rękę, ciało, krew, żonę, dziecię i t. d. Nie mówimy że posiadamy: słońce, księżyc, gwiazdy, łwa, konia (choć go dosiąść możemy;) że posiadamy różę, myśl, brzozę, ziarno i t. p., nie mówimy, że posiadamy kij, goździk, drzazgę, płótno, okno, piętro, komin, orzech, rów, most i t. p.; nie mówimy nawet że posiadamy spilkę, lękając się, aby nas nie ukłóła; nie mówimy, że posiadamy stołek, ławkę, chociaż na tém istotnie usiąść możemy. Bo nasz język, jako objawa rządu rozumu i czucia chce, aby wszelkie samosobie, to jest: wszelkie indywiduum, bądź genetyczne bądź artystyczne, żyjące lub nieżywe, w ten sam sposób, podobnie jak i człowiek, ojciec języka, było szanowane, i drugiemu się bez warunku posiąść nie dało; bo rozum naszego języka wie: że wszystko, co samosobnie jako dusza i ciało, swoją rodzimą wolnością *jest*; to wszystko broni się i duszą i ciałem z swego miejsca komuś wziąć, i siebie, jako swoje samosobne miejsce — którem się ma istoi, w posiadanie dać. Ten język nie pozwala nam z indywidualnej całości nawet cząstki posiadać, ale każe nam ją jako całość mieć. — Jeżeli mówimy, że ktoś posiada coś czyjegoś osobistego, wtedy dajemy do zrozumienia, że mu jest podobne lub że mu się dobrowolnie, moralnie, poddało. Nie możemy np. powiedzieć, że córka posiada oko matki; ale jeżeli powiemy, że ma oko matki, mówimy, że ma oko podobne matce; jeżeli zaś powiemy, że córka posiada serce matki, mówimy, że je posiada umysłowo, że je wzięła myślą lub jako czucie czuściem, nie zaś jako ciałem. Również każe nam język mieć, a nie posiadać to wszystko, co w nas lub zewnątrz nas jest zmienne, niestałe, przemijające; jak np. czas, radość, smutek, boleść, gniew, złość, rozpacz, nieszczęście, żalność, rozkosz i t. p., bo tém wszystkiem możemy nie posiadać się, a nasz język wymaga, abyśmy zawsze posiadali się, abyśmy zawsze w opamiętaniu i świadomości

siebie byli; biada nam, jeżeli nas to wszystko pośe-
dzie! — Tenże sam język każe nam mieć a nie po-
siadać: powinność, obowiązek, poczciwość, zacność,
dobroć, szczerłość i t. p. Jako? a miałyby nam po-
zwolić, abymy posiadali jak materję, zdolność, pojęcie,
uwagę, rozważę, skłonność, uczucie, namysł, wyo-
brażenie i wszystkie tym podobne przymioty duszy?
Miałyby nam pozwolić posiadać rozum, tę iskrę, tę
ideję boską, jak nam pozwala posiadać przestrzeń
smysłową, jak nam pozwala posiadać zbiory, jak nam
pozwala posiadać: ziemię, morze, płace, łądy, lasy,
pola i t. p. skarby, dobra, pożytki smysłowe wszel-
kiego rodzaju? — Dopuścimy aby rozum nas posiadał,
a my go nie mamy. *) i. n. k.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 38my i zawiera:
1) Czy dobrze jest podbiierać ziemniaki w czasie ich
wzrostu? 2) Doświadczenie z parzonką. 3) O budo-
włach drewnianych. Przez K. J. Turowskiego. 4) O urzą-
dzeniu torfarni i kopaniu torfu. (Z ryciua.) 5) Wia-
domości handlowe.

Dziennik mód paryskich pod redakcją Tomasza
Kulczyckiego, wyszedł nr. 20ty i zawiera, prócz
mód, następujące artykuły: 1) Tuz. 2) Zebraćki,
wiersh przez M. S. 3) Marcin Chuzzlewit, kilka rysów
Ameryki i jej mieszkańców. Dokończenie. 4) Koncerta.

Pieśni gmiune u Słowian. Sami cudzoziemcy
przyznają, iż ze wszystkich narodów Europy, ludy sło-
wiańskie najpiękniejszymi tego rodzaju poezjami się
szczyeą. Sławnie też panuje we wszystkich krajach
słowiańskich nadzwyczajna gorliwość o wyszukiwa-
nie i zbieranie tych narodowych utworów, które dot-
ąd w powszechnym znajdowały się zaniedbanu. Jed-
nym z najnowszych i najpiękniejszych zbiorów w tym
względzie są pieśni windyckie z Wyższych i Niższych
Łużyc, wydane przez panów Haupt i Schmalera. Wiele
z zawartych w tym zbiorze pieśni sięga czasów po-
gańskich. — Pewien morawski literat, p. Mikszyczek,
wydał w Bernie zbiór morawskich i szlązkich piosnek,
uzupełniający podobnie zbiory Hanka i Szafarzyka w Pra-
dze, a Kollara w Wiedniu. — Również i w Węgrzech
zbierają tamtejsi uczeni naiwne a nader starożytne
spiewy naddunańskiego ludu. — Kozacy z uad czar-

nego morza i Donu doczekali się w swoim rodaku
Mazymowiczu bardzo pilnego i rozsądnego zbieracza. —
Nawet Bułgarowie tureccy przypomnieli sobie mimo
niewolę osmańską, swoje dawne ojczyste pieśni i spie-
wają je znów, jak niegdyś przed 300 laty, na wierz-
chołkach Bałkanu. Iwan Bogajer wydał w Peszcie
12 pieśni bohaterkich w języku bułgarskim, które lu-
bo nieco do znanych już bośniackich i serbskich śpie-
wów podobne, w ogólności przecież właściwą odzna-
czają się barwą. — Wszystkie prawie wymienione tu
zbiory zawierają oraz melodyje niektórych pieśni, za-
chwycające niezrównaną pięknością i starożytną pro-
stotą. Radzimy każdemu młodemu kompozytorowi za-
znajomić się bliżej z temi serdecznymi dźwiękami
szczerzej pierwiastkowej natury.

Handel niewolnikami jest wprowadzić na za-
chodnio-afrykańskich wybrzeżach za pomocą nadzwyc-
zajnie kosztownej francuzko-angielskiej eskadry stra-
żniczej przytłumiany, lecz w samej francuzkiej posia-
dłości, w Algeryi, trwa on wciąż jeszcze. Z dzieł-
nika »*Courrier d'Afrique*« udzielają pisma francuzkie
następującego listu: »Tęmi dniami przybyła do nas
karawana plemienia Beni-Mzabs, składająca się z han-
dlarzy niewolników, którzy 68 niewolnic z sobą przy-
wieźli. Cała karawana rozłożyła się o kilkadziesiąt kro-
ków od miasta, poczem handlarze natychmiast targ
rozpoczęli, trwający przez trzy dni ciągiem. Mnóstwo
krajowców przybyło w krótkim czasie na targowisko,
i wszystkie prawie niewolnice zostały rozprzedane.
Wiedzeni ciekawością udaliśmy się także w toż miej-
sce, spodziewając się ujrzeć tam nieszczęśliwe isto-
ty, które ciężar łańcuchów i srogie ohejście się wła-
ścicieli do rozpaczy przyprowadziły. Lecz mocnością
się zawiadli. Zamiast smutnych, żęknących niewiast
postrzeegliśmy młode, wesole dziewczęta, pustujące
śród śmiechów i płasów z przybywającymi kupcami,
nie okazując najmniejszej tęsknoty do swojej rodziny
i ojczyzny, których już zapewne nigdy więcej nie
ujrzą. Prawda, że się z temi dobrze obchodzą, a ich
częstość i zdrowa cera twarzy świadczyła o dosta-
tecznym pielegnowaniu w podróży. Dobito kilku tar-
gów w naszej obecności. Widzieliśmy przytęm
następujący sposób postępowania. Najprzód wymienia
kupujący niewolnicę, którą chce nabyć, i uważa, czy ja-
kiej odrazy do niego nie okazuje, gdyż potrzeba pewnego
rodzaju zezwolenia z jej strony. Jeżeli niewolnica się
nie sprzeciwia, ustępuje nabywca z kupcem na stronę,
i umawia się o cenę. Potem dopiero następuje scena,
która tym biednym istotom widocznie przykrość spra-
wia — to jest oględziny. Przez wrodzoną wstydlivość
spuszczają przy tem w dół oczy, lub zakrywają
je sobie rękoma, a czasem nawet niejaki opór stawia.
Lecz to nie zraża bynajmniej nabywającego. Naj-
przód otwiera usta niewolnicy, chcąc podług zębów
o wieku jej się przekonać, następnie macha ręką przed
jej oczyma, aby z tego o dobroci jej wzroku mógł
wnioskować. — Niewolnice te należą po większej czę-
ści do plemion murzyńskich z okolic miasta Tombuktu,
które nieustannie wojny pomiędzy sobą toczą, aby ilu
możności wiele niewolników zebrać, a potem je Ara-
bom za różny towar, jako to: trzewiki, kulce, korale
i t. d. wymieniać. Ci Arabowie sprzedają je plemie-
niu Beni-Mzabs, które je do Algieru odstawia. Cena
niewolnicy wynosi w Algierze zazwyczaj 500—600
franków. — Język murzyński jest zupełnie odrębny
narzeczem, niepodobnym wcale do arabskiego, i nazy-
wa się u samych murzynów Guena-Ouiya. Pieniądze
nie mają dla nich żadnej wartości, a jeżeli im kto pię-
ciofrankówkę i kawałek skła poda, wybiorą nieochy-

*) Wszelki przymiot ducha, posiada się sam przez się.
Wszelkie samosobie posiadane, straciło już wolną dziel-
ność natury swojej: już jest *passivum*. Rozum po-
siadany, nie rządzi lecz służy, nie tworzy lecz przy-
pomina sobie stworzone i używa tego. Rozum jak i do-
wcię, trzeba mieć przez się swój. Wszelkie posia-
dane, jest przywłaszczone, powtórzone i cudze. Cnoty,
powinności, talenta, nauki posiadane, mają coś rze-
mieśnizczego, sąto rozumy martwe, odwzorowane, nie
bodźcem w sobie przebudzone i obudzone,
nie rodzimą zdolnością w zdolność swoją wzięte, lecz
starannie w pożytek pożyczone i pamięcią w pamięci
utrzymywane. Posiadane przymioty rozumu, sąto sło-
wa, reguły, zakony, ustawy — bierno, które w poży-
teczny przykład życwem brać można, lecz ich duch
wziąć się nie da, jeżeli tego ducha sami w sobie nie
znajdziem, a wtedy go tylko znajdziem — kiedy sam
się przez się posiada.

buie ostatnie. Nadewszystko zaś cenią perły skłanne, z których sobie sute naszyjniki składają. Każda z niewolnic była w posiadaniu woreczka napełnionego podobnemi fraszkami, którychby za zadne pieniądze nie oddała.

Nowe odkrycie Daguerra. Sławny wynalazca dagerotypów zdał wydoskonalenie swojej obrazowej maszyny na fotografów i zajmuje się teraz innemi wcale planami. Utrzymują za pewne, iż zdołał w ostatnich czasach nowe odkrycie, które ma być jeszcze bardziej zadziwiającem od owego, którym uwiecznił już swoje imię. Mianowicie tycze się ten nowy wynalazek rozwiązywania zagadki, która od niepamiętnych czasów wszystkich gospodarzów i ogrodników trapi, to jest, tajemnicy nadania młodym drzewkom w kilku latach takiego wzrostu i takiej objętości, jakichby one zresztą chyba w stu latach osiągnąć mogły. Jak słysząc, otrzymuje p. Daguerre tenże skutek tysianym prawie sposobem, jakiego już do zarabowania drzew używają — to jest: nadcina główny korzeń krzewiny i zapuszcza to nadcięcie sokiem, którego skład chemiczny jest dotąd tylko p. Daguerre wiadomym. Ten sok sprawia, iż korzeń natychmiast nad zwyczaj się rozrasta, poczem zarównoż całe drzewko w stosowną szerz i objętość się wzmaga. Jedno z młodych drzewek, na których wynalazca swego środka doświadczał, wyrosło w niespełna 3 miesiącach cztery razy tak wysoko, jak je p. Daguerre zastał, a na przyszłe lato osiągnie ono najwyższego stopnia swojego rozwinięcia. Gdyby się to odkrycie utrzymało, byłyby jego skutki nieocenione. W kilku latach mogłyby wszystkie miasta najpyśzniejsze mieć promenady; wszystkie drogi ozdobiłyby się najpiękniejszymi alejami, a wszystkie zniszczone teraz lasy dałyby się wkrótce nowemi, bujniejszymi zastąpić. Lecz znawcy botaniki czynią pana Daguerrowi trudny do odparcia zarzut, przywzdując przykład młodego w gąszczu wzrosłego krzewu, który uwolniony od otaczających go, i wzrostowi jego przeszkadzających drzew pobliskich, z niesłychaną prędkością w górę pędzi, lecz niewstrzymany w tem nagłem, zbytekiem wzrastaniu, w krótkim czasie usycha i zamiera. Taki bowiem w istocie jest porządek natury, która koniecznie wymaga, aby co długo trwać ma, powoli się też rozwijało, i pewien należyty stosunek między wzrostem a wędzieniem zachodził. Czas okaże, czy p. Daguerre odniesie nad naturą zwycięstwo. Lecz gdyby to jego odkrycie nawet tylko chwilowe skutki sprawiło, kilkuletnie tylko drzewa rozwijać mogło, byłoby ono przeto bardzo jeszcze w ogrodach i parkach przydatnem.

Napoleon i kapral. W roku 1813, po nieszczejliwej wyprawie do Moskwy, przebiegał Napoleon w towarzyszywie adjutanta ulice Paryża i ujrzawszy przy ulicy de Charonne mularza przy robocie około budującego się właśnie domu, skinął uam, aby przyszedł do niego. Mularz zdziwiony wlepił oczy w cesarza i stanął jak wryty przed nim. »Czy poznajesz mię?« spytał cesarz. — »Tak jest, mon empereur;« odrzekł mularz z zająknieniem. — »I ja cię też poznaję. Zowiesz się Gregoire Boivin, byłeś kapralem w drugim pułku szaserów pieszych, przy mojej gwardyi. Pod Essling otrzymałeś dwie rany. Na wniosek pułkownika dałem ci krzyż legijonowy. Niedługo potem kazałem cię przyjąć do domu inwalidów. Jakinże

sposobem stało się, że cię tu pracującego zastałem?« — Gregoire nie odpowiedział ani słowa, i spuścił oczy w ziemię. — Cesarz oswał się dalej: »Przypomnę ci więc, jeśli już nie pamiętasz. Wygnano cię, ponieważ dopuściwszy się wykroczenia przeciw karności, plótłeś niedorzeczne brednie. Jakże? Nie upiłeś się raz z towarzyszami i nie wotałeś: Niech żyje rzeczpospolita! Cóż ci rzeczpospolita pomoże? To niedorzeczność; i słusznie cię więc wygnano.« — Gregoire odyskał tymczasem przytomność i odpowiedział: »Wiem ja, mój cesarzu, iż zbłądziłem. Wino głowę mi zawróciło, a wtedy na nieszczęście sobie przypomniałem, iż byłem ochotnikiem z roku 1793. Lecz jest to przecie zbyt sroga kara dla człowieka, który tak przychylnym jest waszej ces. mości jak ja jestem, który tak wiernie służył, i ma do tego żonę i dzieci, a to wszystko zato, iż o jeden kieliszek więcej wypitem niż należało.« Przy tych słowach stanęły staremu żołnierzowi łzy w oczach. Napoleon był widocznie mocno wzruszony: »Jako!« zawołał. »Masz żonę i dzieci?! To co innego. Gdzież twój krzyż?« — »Mój krzyż,« powtórzył Gregoire nieco skłopotany — »mój krzyż — oddałem do naprawy — lecz...« tu rozpiął szybko kamizelkę i dobył spłowietej wstęgi — »oto tażsama wstęga, którą mi pułkownik wraz z krzyżem do piersi przypiął.« — Napoleon wyjął 15 napoleondorów i dał je mularzowi. »Masz tu na zapłatę naprawy krzyża, a za resztę napij się za moje zdrowie. Zalecam ci jednak, abyś był trzeźwym, a jeśli cię zbierze ochota krzyczeć, to krzycz: »niech żyje Francya!« Jutro będę w Tuileryjach i postaram się, aby cię wpuszczono przede mnie. A teraz idź do roboty.« — Następnego dnia wrócił Gregoire Boivin znówu do domu inwalidów.

Proścacy. Pewne pismo angielskie wlicza następujących znakomych mężów, pochodzących z tak zwanego stanu prostego: *Mojżesz* był z początku pastierzem, *Konfucyusz* cieślą, *Mahomet* osłarzem, *Mehmed Ali* cyrulikiem, terażniejszy sułtan marokański tandeciarzem, *Franklin* drukarzem, prezes *Boyer* cyrulikiem, *Kromwell* piwowarem, prezes *Polk* gospodarzem, *Cervantes* markierem, *Espartero* zakrystyanem, *Krzysztof*, władzca *Hajti*, niewolnikiem, *Bolivar* handlarzem farb, generał *Paea* pastuchem, *Vasco de Gama* majtkiem, również jak i *Kolumbus*, terażniejszy gubernator Madery krawcem, i t. d.

Instrumenta muzyczne i ludzie. Pewien dowcipny artysta porównywa w następujący sposób instrumenta muzyczne z ludźmi: skrzypce są — dziewczęta; w zgrabnych rękach i czysto nastrojone, zachwycają; źle grane, niestrojne, dręczą przeraźliwie uszy. Altówka jest — wyrostkiem; dobry on do towarzyszenia dziewczynie, lecz sam dla siebie: niewiedzieć co z nim zrobić. Wiolonczka jest — młodzieńcem, wciąż marzy, unosi się, rozrzewnia, nawet wesołość jego utęsknia, i nieustannie pragnie miłości; roztagniona pustota nie przystoi jego zadumie; tańce pozbawiają go poetycznego uroku; lecz elegją i łagodną powagą podbija wszelkie serca. Gwardyjola — jesto stary, zrędnny małżonek, ojciec; trzyma całą rodzinę w kupie, wszyscy go poważają, słuchają, lecz nikt wielce nie kocha. Wszystkie czułe serca zajmują się tylko młodzieńcem i dziewczicą; wyrostek i małżonek sąto niezbędne przyczepki.